

Jacek Kwieciński

Ogłoszony niedawno roboczy projekt doktryny obronnej Rzeczypospolitej zawiera kilka pięknych, a niekiedy nawet nowych i śmiałych haseł, deklaracji i zapowiedzi. Cechuje go ujęcie perspektywiczne, choć chyba nieco zbyt wąsko ujmujące on termin „bezpieczeństwo narodowe”.

Cieszy, być może nieco spóźnione, ale wreszcie jednoznaczne stwierdzenie na wstępie: „Po półwiekowej przerwie naród polski pragnie przywrócić generalnej orientacji cywilizacyjnej na Zachód”.

W przeszłości przedstawiono nam już jednak wiele programów (np. program prezydenta Lecha Wałęsy pn. „Nowy początek”), których potem nie próbowano nawet realizować. Pewne wątpliwości są więc uzasadnione. Być może jest to sceptycyzm przesadny, ale chodzi o kwestie zbyt ważne, aby go nieszczerze przemilczać. Przypomnieć trzeba, iż zyskujący szerokie uprawnienia w sgrawach obronności kraju prezydent RP forsował jeszcze niedawno koncepcję tzw. NATO-bis, która w dość powszechnym odczuciu symbolizowała orientację inną niż ta, o której mowa w doktrynie.

Niedługo przed ogłoszeniem projektu minister obrony Janusz Onyszkiewicz raz jeszcze, tym razem w wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” („Wojsko sobie poradzi”), zaprezentował opinie, nie pozwalające uznać go za zwolennika osiągnięcia celu przedstawionego parę dni później: „Polska dąży do uzyskania członkostwa w NATO” (jego wymowę ostabiono zresztą i w projekcie przez jednoczesne podkreślenie szczególnej roli najprzeróżniejszych układów bilateralnych). W innych wystąpieniach minister prezentuje się raczej jako zwolennik orientacji równomiernego zbliżenia do wszystkich wokół.

W wypowiedziach i działaniach tego typu uderza całkowicie abstrahowanie od tego, kto — i co — spowodował przerwę w orientacji cywilizacyjnej Polski. Terminów takich jak „strefa wpływów” czy „komunizm” w ogóle się nie używa. Można odnieść wrażenie, że zjawiska, które określają, odeszły w przeszłość z tak błyskawiczną szybkością, jakby w ogóle nie istniały. W Nowej Europie, którą podobno mamy już raz na zawsze zapewnioną, przeszłość nie znajduje, czy też znaleźć nie może, żadnego odbicia. W tej sytuacji zamiar równomiernego rozlokowania sił zbrojnych na terenie całego kraju rysuje się nie tylko jako coś oczywistego, ale też rewolucyjnie śmiałego, niezwykłego (za czasów admirała Kołodzięczyka siły te były rozlokowane wyłącznie w zachodniej i centralnej Polsce i bardzo długo nie planowano w tym względzie zmian).

Minister Onyszkiewicz zapowiada rychłe zawarcie umowy wojskowej z Rosją, twierdząc, iż chodzi o gest rutynowy, nie odznaczający się niczym szczególnym i o znaczeniu podobnym jak np. porozumienie z Łotwą. Wydaje się, że minister myli się nieco. Już dziś trudno powiedzieć,

z jaką Rosją

zawierać się będzie tę niewątpliwie wiążącą dla Rzeczypospolitej umowę, nie wiadomo też w ogóle, jaka będzie w przyszłości Rosja.

Tego samego dnia co minister, wypowiedział się też publicznie jeden z rosyjskich dostojników wojskowych — gen. Graczow. Oświadczył bez ogródek, że wojska byłego ZSRR z krajów bałtyckich się nie wycofają, albowiem jest to dla Rosji obszar zbyt strategicznie ważny. Inny wojskowy dygnitarz — gen. Dubynin, radził niedawno Polsce, by zadzierzgnęła z powrotem naturalne dla niej więzi wojskowo-polityczne z Rosją. Posunął się on nawet do stwierdzenia, iż w zjednoczonych siłach zbrojnych Wspólnoty pozostaje dla Wojska Polskiego wolne, otwarte miejsce. Gen. Dubynin stale podkreśla też przeważające znaczenie nieznanych ustaleń z prezydentem Wałęsą nad podpisanym niedawno w Moskwie układem państwowym między obu krajami. Wiele ustaleń tego układu niejednokrotnie już zresztą kwestionował.

Podobne wystąpienie można oczywiście ignorować. Niemniej jednak w świecie podnosi się coraz więcej głosów, które zastanawiają się, kto i w jakim stopniu kontroluje b. Armię Radziecką, jej dowództwo, sztab generalny. Podnosi się różnice między Rosją, którą nazwać można umownie i skrótowo Rosją nową, a Rosją starą, którą się utrzymać, czy też odzyskać, swą strefę wpływów. Mówi się, że ta ostatnia, jak się wydaje, wspiera się głównie na armii i jej kadry dowódczej, którą można by określić jako niezmiennie sowiecką.

A przecież to właśnie z Rosją generałów Dubynina i Graczowa pragnie zawierać umowę minister Onyszkiewicz. Ją także, nie dostrzegając wspomnianego zróżnicowania, obdarza zaufaniem, w jej dobrą wolę wierzy całkowicie. Nie trzeba wcale cierpieć na fobię antyrosyjską — wręcz przeciwnie, można być przyjacielem Rosji demokratycznej — by mieć pewne wątpliwości przy świadomym ignorowaniu szczególnej sympatii i powiązań z poprzednim reżimem w skali polskiej i pozapolskiej. Być może zresztą „najmniej kompetentni”, czy też najbardziej kłopotliwi, okazać się spośród młodszych oficerów ci, którzy zbyt otwarcie deklarują swe przesadnie antykomunistyczne poglądy?

Zdaniem ministra, służbom specjalnym i w ogóle kadry dowódczej WP wiarygodność przywróci nie definitywne zerwanie wszelkich, chociażby tylko pośrednich, związków zewnętrznych, lecz przeciwnie — ignorowanie w ogóle możliwości istnienia tych związków i niedokonywanie jakichkolwiek zmian pod tym kątem. Trudno założyć, by zachodni wojskowi i politycy podzielali w tym względzie opinię ministra, chociaż zapewne nie powiedzą o tym kierownikom MON w oczy. Trudno też przyjąć, by w tej sytuacji byli zyczliwi i pomocni w naszym przeorientowywaniu się na Zachód, w zacieśnianiu prawdziwych związków z NATO, nie mó-

wnika ze wspomnianego już mniemania o braku, w podobnych kwestiach, jakichkolwiek związków między teraźniejszością i przyszłością.

Naturalną i oczywistą potrzebę koniecznej ciągłości dostrzegają się w innych przypadkach. Przeprowadzanie, między innymi przez kierownictwo MON, całościowej obrony wojskowych służb specjalnych PRL (WSI), pełne utożsamianie ich ze służbami RP, zrównywanie i przyrównywanie do służb państw „od zawsze” normalnych i suwerennych, jest dowodem na zupełne relatywizowanie komunizmu i negowanie jego szczególnego charakteru. Ryzykując pewną złośliwość można by wnosić, iż

minister nie słyszał nigdy nazwy GRU.

Bynajmniej nie „chorobliwi antykomuniści”, lecz bez mała wszyscy zachodni specjaliści podkreślają tymczasem, że struktura i działanie GRU pozostały niezmiennie. WSI, choćby z uwagi na zintegrowany system wszystkich dziedzin aktywności Układu Warszawskiego, po prostu nie mogła nie być ściśle związana z GRU; trudno też uwierzyć, by wszystkie nieformalne powiązania i kontakty zostały zerwane i zarzucone. Mowa tu zaś o służbach specjalnych, podporządkowanych aparatowi generalskiemu w Moskwie, jego orientacji i jego polityce. WSI nie była praktycznie wcale „czyszczona” od roku 1989. Minister sądzi jednak dzisiaj, że jakakolwiek desowietyzacja była by dla WP wysoce szkodliwa, a dla kraju katastrofalna (czyżby wszyscy generałowie i pułkownicy zajmowali kierownicze stanowiska w PZPR?). A prezydent nazwa wszelkie kroki w tym kierunku nagannym „dzieleniem wojska pod względem politycznym”. Zapowiadany przez kierownictwo MON „świadomy manewr kadrowy” obejmie odejście wielu generałów, ale także zwolnienie licznych oficerów młodszych. Jedynym kryterium zmian stanowiącym „fachowość i kompetencja” przy świadomym ignorowaniu szczególnych sympatii i powiązań z poprzednim reżimem w skali polskiej i pozapolskiej. Być może zresztą „najmniej kompetentni”, czy też najbardziej kłopotliwi, okazać się spośród młodszych oficerów ci, którzy zbyt otwarcie deklarują swe przesadnie antykomunistyczne poglądy?

Zdaniem ministra, służbom specjalnym i w ogóle kadry dowódczej WP wiarygodność przywróci nie definitywne zerwanie wszelkich, chociażby tylko pośrednich, związków zewnętrznych, lecz przeciwnie — ignorowanie w ogóle możliwości istnienia tych związków i niedokonywanie jakichkolwiek zmian pod tym kątem. Trudno założyć, by zachodni wojskowi i politycy podzielali w tym względzie opinię ministra, chociaż zapewne nie powiedzą o tym kierownikom MON w oczy. Trudno też przyjąć, by w tej sytuacji byli zyczliwi i pomocni w naszym przeorientowywaniu się na Zachód, w zacieśnianiu prawdziwych związków z NATO, nie mó-

więc już o poparciu dla członkostwa Polski w Pakcie. Gdyby tak właśnie potoczyły się sprawy, minister Janusz Onyszkiewicz mógłby mówić o samosprowadzeniu się jego, głoszonej nie od dzisiaj, poglądów. Charakterystyczną się one dużą rezerwą co do możliwości czy wręcz sensu zinstytucjonalizowania stosunków Polski z NATO, naszego członkostwa wojskowego czy chociażby politycznego na wzór francuski, tj. pełny i autentyczny, a nie raczej symboliczny poprzez Radę Koordynacyjną, która obejmie niebawem bodajże całą Europę. Ostatecznie, jak mówi z niejakim lekceważeniem minister, mamy do czynienia tylko „z pewną linią polityczną, która w tej chwili w Polsce panuje”.

Przeciwnicy jednoznacznie zachodniego, proatlantyckiego nastawienia Polski znajdowali zawsze salenie dużo argumentów, by określić je jako przedwczesne, przesadne, nierealistyczne czy nawet szkodziące, by wskazać, że również inne powiązania są nam wciąż potrzebne bądź niezbędne. W przyszłości z pewnością wyjadą i racje nowe, odpowiednie dla zmieniającej się rzeczywistości.

Warto więc może przytoczyć niektóre z deklarowanych od 1989 roku: 1. Nie nadszedł jeszcze czas na bliższe instytucjonalne związki z Zachodem, a podjęcie starań w tym kierunku może być uznane za działanie prowokujące; 2. Wojska sowieckie mogą wyjść z Polski tylko w ramach ogólnoeuropejskiego procesu rozbrojenowego; 3. Owszem, będziemy do tego dążyć, ale nie w równie szybki i ostentacyjny sposób co niektórzy sąsiedzi; 4. Celem Polski jest likwidacja obu bloków militarnych w Europie; 5. B. Armia Radziecka jest gwarantem polskiego bezpieczeństwa (taśm. Kołodzięczyk mówił o ochronie naszej niepodległości); 6. Wojska sowieckie chronią nas przed „zagrożeniem niemieckim”; 7. Nie wolno i nie należy, poprzez zbyt głośne żądania czy nieodpowiedzialne deklaracje i starania, szkodzić i przeszkadzać Gorbaczowowi — a także drażnić go. Dziś mówi się o: 8. Nieantagonizowaniu sąsiadów.

Doktryna doktryną a minister Onyszkiewicz jeszcze kilka dni przed ogłoszeniem „Inwalid” przecież mówić politykom Paktu, że Polska obawia się inwazji któregoś ze wschodnich sąsiadów... Nie można jednocześnie potajemnie mówić na Zachodzie o żywności np. względem Ukrainy i Rosji obawach, a z drugiej strony utrzymywać z nimi dobrych stosunków”. Toteż np. o trudnościach z wyprawdaniem obcych wojsk z Polski starano się na ogół na Zachodzie nie mówić, w związku z czym nasi „demokratyczni przyjaciele” czuli się zwołnieni od zainteresowania się tą sprawą. Ponieważ zaś „zdaniem ministra, poza nadzwyczajnymi i wchodzący jak najbardziej w zakres „bezpieczeństwa narodowego” — znany nam dobrze nacisk polityczno-wojskowy (z podkreśleniem elementu pierwszego) zmierzający do utrzymania Polski we „wschodniej” strefie

Starania o członkostwo w NATO

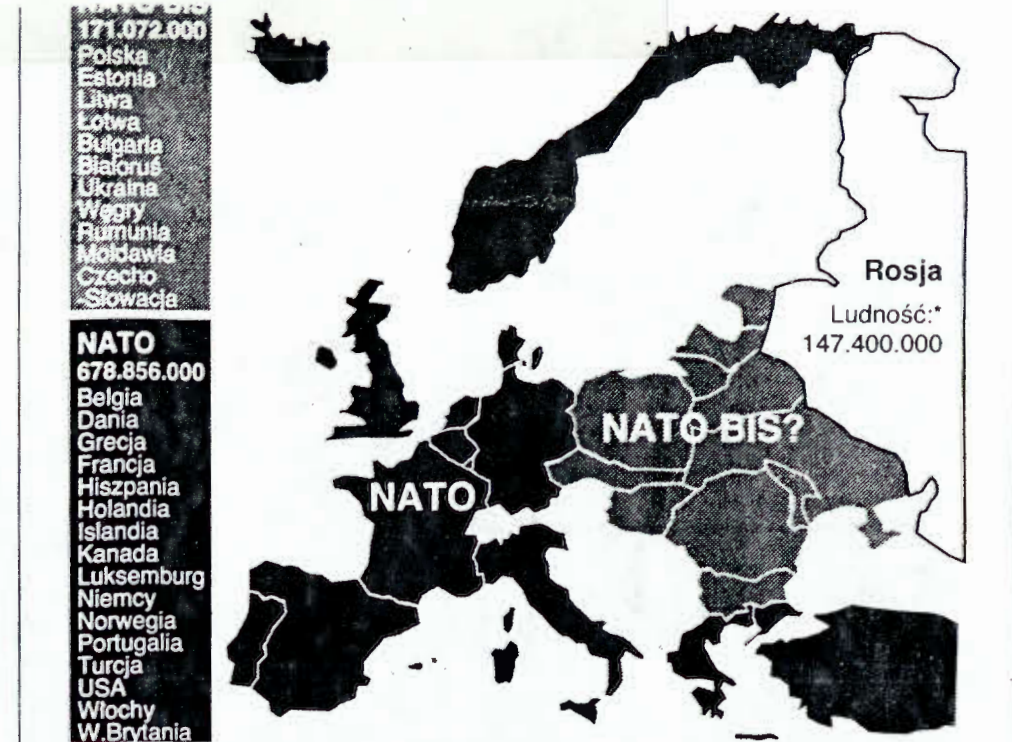
muszą być kojarzone ze słabością Polski, dowodzą bowiem, że z ewentualnymi przygranicznymi zamieszkami moglibyśmy sobie nie poradzić, a to stawia nasze wojsko w złym świetle i ostatecznie „zraża” do nas i Pakt, i Zachód — twierdzi minister. Podobne stawianie sprawy bezpieczeństwa narodowego i używanie tego typu argumentów zmusza do wyjaśnienia dwóch kwestii.

Politycy polemizujący ze zwolennikami obecności Polski w NATO niezmiennie oskarżają tych ostatnich, że chcą do niej doprowadzić „dziś”, „natychmiast”, „od razu”, co ma wskazywać na brak realizmu tudzież na awanturczą nerwowość z ich strony. Tymczasem, nie ma w Polsce poważnych polityków, którzy wierzyliby, domagaliby się, czy też „żądali” przyjęcia naszego kraju do Paktu w trybie natychmiastowym. Części z nich, o odmiennych od ministra poglądach, chodzi o co innego: o wyrażenie i niedwuznaczne określenie tego pragnienia jako naszego celu strategicznego i rzeczywiste działanie na rzecz jego osiągnięcia, chociażby w imię zasady: jeśli chcesz, by coś stało się kiedykolwiek faktem, zmierzaj do tego od dzisiaj.

Politycy ci pragną, by czyniło wszystko dla przybliżenia obecności Polski w NATO, nie dlatego, iż sądzą, że obecnie ktoś chce nas „podbicić i zwasalizować”, nie kieruje nimi też wrogość wobec Rosji, nie chcą również rozgrywać przeciw niej nieprzyjacielskich gier z udziałem kogokolwiek. Niepokoje swe opierają nie tyle na wet na obawach związanych z konfliktami lokalnymi mogącymi objąć Polskę, z obecnością obcych wojsk na terenie naszego kraju czy groźbą ekonomicznej blokady. Chodzi im o coś więcej, o coś, co wykracza poza zagrożenie bieżące czy nawet jutrzejsze. Polska winna definitywnie zinstytucjonalizować swe bezpieczeństwo, by raz na zawsze wyostać się z szarej strefy, z próżni, z faktycznego osamotnienia polityczno-obronnego. Powinna wypłatać swój wywiad z postsowieckich związków i przeciąć jakiegokolwiek niejawnie powiązania pozostałe z dawnych struktur, aby uniknąć nawet możliwości odnowienia poprzedniego uzależnienia w jakiegokolwiek formie. Od tego zależy nie tylko nasze bezpieczeństwo i jego trwałość, ale i polityczne miejsce naszego kraju w Europie.

Największe zagrożenie

nie wynika zaś z możliwości wojskowego, fizycznego ataku czy też powstania chaosu za granicą wschodnią. Jest nim — i wchodzi to jak najbardziej w zakres „bezpieczeństwa narodowego” — znany nam dobrze nacisk polityczno-wojskowy (z podkreśleniem elementu pierwszego) zmierzający do utrzymania Polski we „wschodniej” strefie



wpływów. Czy to się komuś podobia, czy też nie, jest to groźba nadal realna, tym niebezpieczniejsza, że znacznie mniej uchwytne i łatwiejsza do zignorowania przez świat zewnętrzny. (Duża „miękkosć” wielu polskich polityków w tej materii, wynikająca niewątpliwie z lęków i doświadczeń całego ich życia, a także ich krótkowzroczność, nonszalancja i swoisty zanik pamięci — zagrożenie to potęgują).

Można nawet dowodzić, że stałe wysuwanie przeróżnych argumentów przeciw postawie śmiałej i nowej samo w sobie dowodzi, jak bardzo minione 48 lat odbiło się na rozpowszechnionym sposobie myślenia. Złe pojmowanie „ostrożność” i wysuwanie na plan pierwszy zasady „nie drażnienia” górują jakby nadal nad zwykłym, a bezwzględnym, prymatem własnego interesu, któremu w kraju suwerennym winno być podporządkowane wszystko. To, że pragniemy przywrócić „orientacji na Zachód” i że pragniemy tego naprawdę, a nie tylko retorycznie, winno być zrozumiałe i oczywiste dla demokratów rosyjskich. Dla innych wschodnich sąsiadów instytucjonalne związanie Polski z Zachodem stanowiłoby wręcz gwarancję pogrzebani w stosunku do nich naszych ciągłych rewindykacyjno-nacjonalistycznych, których się, prawdopodobnie bezpodstawnie, obawiamy. Dziś wszyscy, z państwami NATO (paktu ostatecznie zawsze defensywnego) na czele, utrzymują z Rosją nadzwyczaj dobre, przyjazne, nieantagonistyczne stosunki i w naszym przypadku bynajmniej nie musiałoby być inaczej. Tyle że byłyby to stosunki, których równoprawność, także na przyszłość, czyli na stałe, byłaby zapewniona.

Doktryna mówi o dążeniu Polski do osiągnięcia statusu członka Paktu Atlantyckiego, ale minister obrony publicznie deklaruje, że nad Sojuz przedkłada „solidarności przyjaźni” — demokratycznych krajów europejskich”. Opinię tę, przywołując

na myśl smutne analogie historyczne, trudno nazwać realistyczną bądź pragmatyczną. Na ową wątpliwą solidarność, ostrożność liczy zresztą wyłącznie w razie przygranicznych zamieszek i podobnie spektakularnych wydarzeń. W przypadku wspomnianej możliwości nacisku politycznego — o żadnej, nawet deklaratywnej, solidarności oczywiście mowy być nie może, a przecież, jak próbowano wykażać, o zabezpieczenie przed tą groźbą przede wszystkim chodzi. Z dążeniem Polski do uzyskania członkostwa w NATO” kłóci się również dziwna idea ministra — propozycja zastosowania wobec Polski „w razie czego” tzw. programu lend-lease i traktowanie jej jako rozwiązania perspektywicznego i optymalnego. Jak wiadomo, pomysł ten nawiązuje do pomocy udzielanej różnym walczącym państwom przez neutralne Stany Zjednoczone w trakcie pierwszej fazy wojny światowej. Ze względu na małe prawdopodobieństwo otwarcia agresji na Polskę trudno zrozumieć jej sens. Najważniejsze jest jednak, że idea ta zakłada naszą neutralność, pozostawienie naszego kraju poza Sojuszem, i to a la long, jak i w własnego, świadomego wyboru. Wydaje się, że w Polsce całkiem ważnych polityków po prostu nie chce, by Polska kiedykolwiek znalazła się w NATO, aczkolwiek nieporęcznie jest im stwierdzić to otwarcie.

Minister obrony, na przykład, bezustannie i z naciskiem podkreśla absolutną niemożność przystąpienia Polski do NATO i całkowitą, monolityczną wrogość Zachodu wobec takiej perspektywy. Można zasadnie podejrzewać, że jest to argument dopasowany do z góry założonej tezy, skoro nawet minister Skubiszewski zauważył niedawno: „W ostatnim okresie pojawiła się na razie określona jeszcze czasowo perspektywa udziału Polski w NATO”. Chodzi zatem raczej o to, czy powstały stan będziemy stawali się wykorzystywać, czy też pozostaniemy wobec niego bierni. Nawet w przypadku MSZ, przy-

kładającego główną wagę do różnych umów bilateralnych i porozumień symbolicznych, preferując wielotorowość, ostrożność i „finezję” (powolność) działania, można mieć wątpliwości co do wyboru sposobu postępowania.

Mówiąc o tych sprawach, i to we wszelkich kontekstach, politycy polscy z reguły posługują się określeniami „paneuropejskimi”, a nieźmiernie rzadko używają terminu „atlantycki”. Także w wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” minister obrony uznał za cel, który ewentualnie warto osiągnąć (zmierzając do niego „spokojnie”), nasze członkostwo w „strukturach bezpieczeństwa Europy Zachodniej”. Nadzieje na zwiększenie bezpieczeństwa Polski wiąże zaś, poza wspomnianą solidarnością międzynarodową, z procesem KBWE, „systemem zbiorowego bezpieczeństwa europejskiego” oraz „Kartą Nowej Europy”. „Zbiorowe bezpieczeństwo” to utopia zaiste piękna, przywołująca na myśl Ligę Narodów i idealizm Wilsona. Także „proces KBWE”, mimo że NATO i Unia Zachodnioeuropejska napomkają czasem o jego wykorzystaniu, ma raczej większe szanse, by w sferze bezpieczeństwa upodobnić się do „procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie”, czyli długoletniej fikcji i działań pozorowanych.

Określenie „Karta Nowej Europy” brzmi natomiast niezwykle postępowo, ale należy się obawiać, że zawarta w nim treść, czy też wartość merytoryczna, jest tego samego rzędu co w innych popularnych zakleciach o: „wspólnym europejskim domu”, „Europie od Atlantyku po Ural”, „Nowym Porządku Światowym”. Co najważniejsze, wszystkie te pomysły, mimo modnej, górnolotnej stylistyki, pozostawiają nas wciąż poza jedynym, realnie istniejącym i przez cztery dekady sprawdzonym — sojuszem wojskowo-politycznym.

Autor jest publicystą i politykiem związanym z Ruchem III Rzeczypospolitej.